

Jan Chowaniec

Jaki piękny byłby świat

Romans polsko-łemkowski-żydowski



Jaki
piękny
byłby
świat

Jan Chowaniec

Jaki piękny byłby świat

© by Jan Chowaniec & Wydawnictwo Biblos,
Tarnów 2025

Opieka redakcyjna: Andrzej Dobrowolski

Projekt okładki i stron tytułowych:
ks. Bartosz Chęć

W opracowaniu graficznym wykorzystano
reprodukcje czterech dzieł Nikifora, czyli
Epifaniusza Drowniaka (1895-1968): *Willa „Patria”
w Krynicy, Nowe Łazienki Mineralne w Krynicy,
Pejzaż beskidzki z wioską łemkowską i stacją
kolejową, Pejzaż z miastem wśród gór* (własność
Muzeum Ziemi Sądeckiej w Nowym Sączu)

Druk: Poligrafia Wydawnictwa Biblos

ISBN (online) 978-83-8354-237-9



Biblos

WYDAWNICTWO

Plac Katedralny 6, 33-100 Tarnów

14 621 27 77

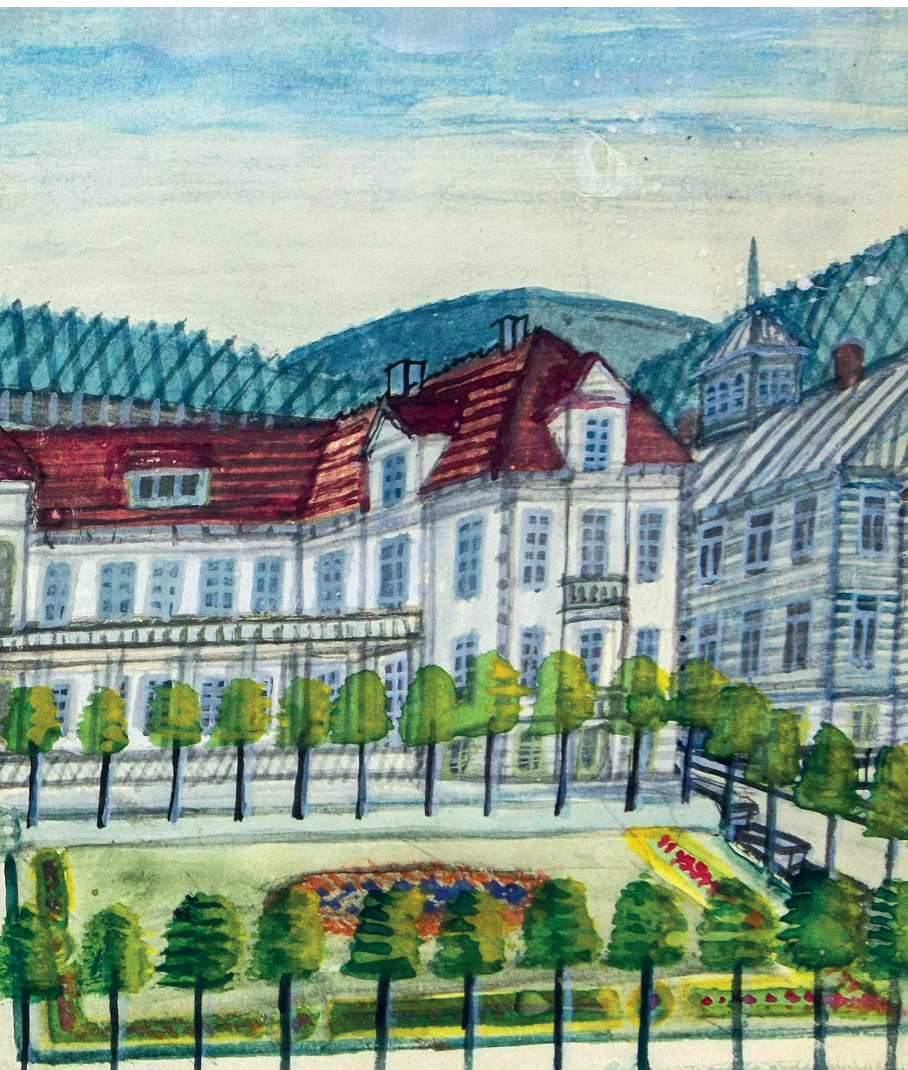
biblos@biblos.pl

www.biblos.pl

[@wydawnictwobiblos](https://www.facebook.com/wydawnictwobiblos)



Przed wojną



1

Dziewięć par dorodnych koni ciągnęło po ubitej drodze wozy na drewnianych kołach okutych żelazną obręczą. Koła podskakiwały na kamieniach, kruszyły te mniejsze i, kręcąc się, wylewały z głowic gęstą maź, która była niezbędna, aby się mogły lekko obracać.

– Wio! Wio! – krzyczeli furmani.

Potrząsając lejcam, smagali konie batem.

Biczyska były zrobione z jałowca, a do nich zostały przywiązane pasemka z wołowej skóry. Niektórzy na końcu batów mieli porobione węzełki, aby smagnięcie było boleśniesz. Koń zmuszony był wówczas do jeszcze większego wysiłku. Inni uważali czyn ten za nagan-ny, jako że zwierzęta to stworzenia boskie, nie powinno się więc ich męczyć.

Konie zjechały z drogi w boczną, wspinającą się pod górę, dróżkę usypaną potłuczoną cegłą. Na wzniesieniu znajdowała się cegielnia, stara, ale dobrze zachowana. Wymieniono w niej niedawno pokrycie nad regałami, gdzie suszyła się cegła, a ściany wielkiego pieca poreperowano. Wysoki komin, wznoszący się majestatycznie nad okolicą, nie wymagał remontu.

Pracownicy cegielni wyjmowali jeszcze ciepłą cegłę i, ładując ją na taczki, wywozili na rozległe podwó-

rze, gdzie każdą z nich układali w koziołki po dwieście pięćdziesiąt sztuk. Twarze ich obsypane były czerwonym pyłem, podobnie zresztą jak ubrania. Dłonie mieli spracowane, szorstkie, pełne odcisków i krwiałków po przypadkowym uderzeniu cegłą.

Kiedy dziewięć furmanek zajęchało na plac, pracownicy wyszli z cegielni, aby popatrzeć na konie, a przy okazji zaczerpnąć świeżego powietrza i odpocząć nieco. Krople potu spływały im z czoła, po policzkach, za kołnierz. Wyglądali śmiesznie; poorani na twarzach przez krople potu, niczym pisanki wielkanocne wykonane z jaj zabarwionych w cebulowych lupinach.

– Ładne konie! – mówili pracownicy cegielni.
– Silne.

– A silne – odpowiadali furmani, zbliżając się do ciekawskich.

Tak już jest, że ludzie ciężkiej roboty szanują się nawzajem i lubią ze sobą pogadać. Po niedługim czasie na placu wrzało jak na targowisku. Dym z papierosów unosił się razem z dymem puszczanym z drewnianych fajek własnej roboty. Od czasu do czasu ten i ów furman, chcąc przytaknąć rozmówcy, kiwał znacząco głową i mówił: „Ta hej! Ta hej!”.

Z małego budynku, gdzie mieścił się zarząd cegielni, wyszedł mężczyzna w czarnym kapeluszu i, stając przed chłopami, oznajmił:

– Te dwadzieścia koziołków, pięć tysięcy cegieł, ma trafić na budowę u pana Jana Kiepur.

Szybko policzył furmanki i, doliczywszy się dzie-
więciu, nieco zdziwiony zapytał:

– Jak to? A kto weźmie pięćset cegieł?

W tym czasie po ceglanej drodze zbliżała się fur-
manka ciągniona przez dwa siwe konie. Woźnica sma-
gał je batem i krzyczał:

– Wio! Wio! Bydlaki, siwulce! Wio!

Gdy podjechał bliżej, ściągnął lejce, zatrzymał
konie i, przykładając dłoń do czoła, spojrzał na fur-
manów:

– A niech mnie kule biją! Same cholerne Rusiny!
Więcej was matka nie miała? – wypalił.

Rusin jak Rusin. Dumny jest z tego, że jest Rusi-
nem. Ale po co to słowo „cholerne”? Ubodło ich to,
sarkali między sobą i nie odzywali się do nowo przyby-
łego. Ten zaś spoglądał z uśmiechem na zagniewanych
i zagadywał:

– Petro, Michał, Mikołaj! Ta nie gniewajcie się,
żartowałem!

Urażona duma szybko nie puszczała. Właściciel
siwych koni widział to, dlatego podszedł do tęgiego
chłopa, do którego zwracano się Petro, i, szturchając go
w bok, mówił:

– Petro nie bud bortakom... Palunki się napijesz?

– A masz?

– Mam w worku z sianem. Napijemy się, jak
będziemy jechać z cegłą. Długa droga, dwadzieścia
kilometrów, będzie czas pogadać o starych i nowych
biedach.

Trzeba powiedzieć, że na tej ziemi, gdy od czasów króla Kazimierza Wielkiego górale mieszały się z Rusinami, Rusin umiał po polsku, a góral rozumiał Rusina. Mowa przenikała się wzajemnie i tworzył się specyficzny dialekt, nieco inny dla każdego regionu.

Cegły załadowano i dziesięć furmanek poturlało się w dół, wznosząc tuman ceglanego kurzu. Gdy wjechali na główny trakt, pierwszy woźnica prowadził, ostatni ponaglał konie, a w środku potworzyły się grupki rozdyskutowanych chłopów. Maciej, bo tak było na imię temu, co ostatni przyjechał na cegielnię, wlaź na wóz Petra i obaj usiedli na worku z sianem, spuszczając nogi w dół. Petro zatarł ręce z zadowolenia, że palunki może się napić. Nie był pijakiem, ale wódkę lubił, a zwłaszcza lubił przy niej pogadać, porozwodzić się o tym i o owym.

– Ano będzie trzy tygodnie, jak moja Akulina – zwrócił się do Macieja – urodziła mi wreszcie syna. Niestety, zmarł od razu, nieborak. A i ona sama, Boże mój, nie może dojść do siebie, krwawi biedaczka i w dołku ją boli – pokazywał na brzuch. – Poród odebrała stara Rębiaszka i mówiła, że bóle przejdą, ale ona wciąż mi marnieje. Boję się o nią. Dobrze, że żonie pomagają córki, Stefcia i Marysia.

– Wykrwawi się, wypłynie, co złe, i przejdzie. Petro, nie frasuj się – rzekł Maciej.

– Ano może przejdzie, tak też mówi Rębiaszka, ale jakoś człowiekowi ciężko, gdy żona choruje.

– Trzeba być dobrej myśli. Moja Kazia po porodzie też długo krwawiła. Wydawało się, że do Sącza, do szpitala trzeba odwieźć. Ale jakoś przeszło. Napij się, Petro. Martwisz się na zapas, mówię ci.

Petro pociągnął z butelki spory łyk i otarł usta.

– A takie to życie – odpowiedział – pełne cierpienia i trosk. Martw się o to, o tamto. Jak żona zdrowa, to tato choruje. Jak wszyscy zdrowi, to mi się sypaniec spalił i Bóg raczy wiedzieć z czego.

– Mówisz tak, boś rozżalony, boisz się o żonę. Ale trzeba być dobrej myśli. Wszystko z czasem się ułoży. Żona wróci do zdrowia, mówię tobie, Petro. Czas leczy i duszę, i ciało.

Po dziesiątym łyku Petro poczuł żar w sobie, coś jakby go podniosło i odeгнаło zmartwienia na boki. Przez chwilę zapomniał o żonie, a gdy znowu sobie ją przypomniał, mówił do Macieja.

– Będzie dobrze.

– Musi być dobrze! – odpowiedział Maciej.
– Trzeba mieć ogromnego pecha, żeby było źle – zaśmiał się głośno.

Do ich furmanki podszedł starzec, siwy, przygarbiony, z widocznymi żyłami na dłoniach. Złapał się krawędzi wozu i zaczął mówić:

– Pojechał jem zeszłego tygodnia do lasu, na buki. Patrzę, a tu sarenka, taka mała, jeszcze ledwo na nogach stoi. Myślę, wezmę ją do domu, bo w lesie zmarnieje. Owinąłem ją w worek i wiozę, już z lasu wyjeżdżam, a tu matka-sarna za wozem biegnie i be-

czy. Oczy ma jakieś zapłakane. Zatrzymuję konie, stawiam małe sarniátko na nogi, a to, potykając się, biegnie do matki. Ile uciechy było w tych zwierzątkach! Trzeba było wam widzieć! Nigdy z lasu już nie wezmę żadnego małego. One zawsze się z matkami odnajdą.

– Las ma swój porządek – odrzekł Maciej – i nie należy w tym przeszkadzać.

– Ta hej! Ta hej! – skwitował starzec.

Do furmanki podszedł także stary Paliszak. Uchwycił się kłonicy i, dysząc ciężko, mówił:

– Lekarz mi zabronił pić tłuste mleko, ale co tu jeść poza tłustym i mlekiem. Sadło tłuste, słonina tłusta, boczek na strychu wisi, też tłusty. A bez mleka uschnę jak patyk.

Umilkł na chwilę. Poprawił kapelusz i otarł pot z czoła. Podreptał tak przy wozie, po czym znowu się odezwał:

– O czym to jem mówił?

– O burakach i karpielach – odpowiedział Petro, robiąc oko do Macieja.

– A tak, a tak – podjął Paliszak. – Już mówiłem, że Nestorek to szkodnik. Psiajucha nie pilnuje krowy i wyżarła pół zagonu. Mówię: „Napraw szkody”, ale jemu mówić jak do ściany. Nie słucha. Śmieje się...

Odszedł od wozu, gadając coś do siebie, pełen złości. Gdy konie ruszyły rażniej, dreptał już z widocznym bólem w kolanach i pocił się. Petro uchwycił lejce i zatrzymał wóz.

– Wsiadajcie, panie Paliszak. Koni nie trzeba poganiać, same idą.

Paliszak wgramolił się, nie bez pewnego trudu, na furmankę i usiadł na ciepłej jeszcze cegle.

– Mówił jem, że się śmieje – garwolił dalej. – Mówilem, że się śmieje. Zaraz, zaraz... kto się śmieje... Czekał, był jem zapomniiał. A bodaj to licha! Już wiem: ano synowa, kobieta mojego Pawła, robić jej się nie chce i śmieje się w żywe oczy, że z roboty garb rośnie. Nie mówię, żeby nic nie robiła. Dom wysprząta, umyje garnki, krowy wydoi, nakarmi, a potem siada i czyta. Mówię wam: czyta! A tu tyle roboty! Widział kto, żeby po próżnicy czytać? Nie mówię, w cerkwi czytać nabożne pieśni, ale w domu, w zwykły dzień? Skaranie Boże z tą synową!

Staruszek poczerwieniał ze złości i, zapominając o swym podeszłym wieku, zeskoczył z wozu i aż zasyczał z bólu.

– A bodaj z nią... Ale o co to mi szło? Czekał, mówiłem o synowej, ale o czym?

Maciej spojrzał pytająco na Petra:

– Co tutaj jest grane?

Petro machnął ręką.

– Skleroza. Straszna skleroza. Gubi wątek, jak wiadać, i to już trwa od dłuższego czasu. Nasila się.

Tak rozmawiano przy wozie Petrowym. Nieco z tyłu, o dwie furmanki, obok wozu, szedł chłopiec. Miał około szesnastu lat. W rękach trzymał lejce, a że nogi chciał rozprostować, które mu ścierpły od

dłuższej jazdy, kroczył po drodze, jakby stąpał po gorącej blasze. Był średniego wzrostu, gładko ogolony, z ciemną czupryną. A w niebieskich oczach jakby paliła go tęsknota. Do czego? Dwa lata temu, gdy ojciec chciał go wyuczyć na pana, zapisał syna do miejscowego gimnazjum. Wasia – bo tak mu było na imię – uczył się nieźle. Świadectwo z pierwszej klasy otrzymał z wyróżnieniem. Drugi rok rozpoczął także obiecująco, aż dnia pewnego ojciec Wasi miał w lesie wypadek. Drzewo ładowane na wóz za pomocą capiny osunęło się w dół i przygniotło ojcu nogę. Furmani załadowali obolałego mężczyznę na wóz i przywieźli do domu. Znachor Bałuc zrobił koło nogi, co trzeba, kości zestawił, usztywnił, ale miesiące mijały, a noga jakoś dalej bolała i była opuchnięta. Nie było rady. Wasia ze szkoły się wypisał, gdyż ojca musiał zastąpić i w polu, i w lesie, i w domu.

Chłopiec wyniósł ze szkoły dwa lata nauki i ogromną tęsknotę do czarnookiej dziewczyny, w której się kochał bez opamiętania. Myślał o niej, gdy kładł się spać i gdy się budził. Przed oczami miał stale jej obraz. Sara! Sara! Sara!

Tak, była Żydówką. Siedziała w pierwszej ławce. Miała czarne, lśniące włosy zaplecione w dwa warkoczki, związane na końcach czerwoną kokardką. Mundurek schludny, czysty, zawsze wyprasowany, buciki z dobrej skóry, drogie. Była szczupła, ale nie chudzielec, nieco niższa od Wasi. Twarz śniada, zdrowa. I te oczy, te czarne oczy! Jakby paliły się dwie źrenice, które pa-

trzącego na nią uwodziły, wręcz zniewalały. Była boska! W jej spojrzeniu nie było jednak wyniosłości i dlatego Wasia pokochał ją całym sercem. Lubił spoglądać na nią, a gdy zbliżał się do niej, serce waliło mu jak młot. Chwilami bał się, że usłyszy łomot jego serca, a wówczas Bóg wie, co powie. Lepiej było trzymać się z daleka, patrzeć na nią i milczeć. Bo na cóż on, biedny Wasia, mógł liczyć? On, w wytartych kierpcach, połatanych portkach, swetrze cerowanym na łokciach. A ona taka piękna i bogata. Były chwile, że stał obok niej, ale wówczas nie patrzył jej prosto w oczy, bo bał się, że usłyszy: „Co się gapisz, Wasia?”. Nie, nie, lepiej nic nie mówić. Kochać i cierpieć.

Razu pewnego, a było to jeszcze w gimnazjum, kilku chłopców zaprosiło Sarę i jej koleżankę do wspólnej zabawy w łapanego. Nie odmówiły. Sara biegła i śmiała się, a Wasia patrzył na nią szczęśliwy. Nie miał jednak odwagi, aby dołączyć do gonitwy. Siadł na ławce pod ścianą szkoły i patrzył. Sara zgrabnie umykała chłopcom, ale w pewnym momencie bukiem zahaczyła o wystającą płytkę chodnikową i upadła parę kroków przed Wasią. Chłopiec już chciał wstać, podnieść ją z ziemi, serce biło mu jak młot... Chciał dotknąć ją, ale czym? Swoimi brudnymi od ciężkiej pracy rękami? Sara wstała zwinnie i, strzepując pył z kolan, rzuciła władcze spojrzenie Wasi, jakby mówiła: „Może byś mi pomógł, kawalerze?”. I to było jedyne, co Wasi w niej się nie podobało. Bał się tego spojrzenia.

Tak rozmyślał o tym, co było, i zawinawszy lejce na przedniej kłonicy, szedł obok fury, minął ją, wyprzedził nawet wóz, na którym siedzieli Petro i Maciej. Żałował, że nie podniósł Sary z ziemi, byłby wówczas dotknął swoje kochanie, swoją szczęśliwą i nieszczęśliwą miłość.

– A co on tak idzie jak dygnitarz? – zapytał Maciej Petra, wskazując palcem jego siostrzeńca.

– Chyba zakochany – odparł Petro, parszcząc śmiechem.

Wasia otrząsnął się ze wspomnień i zawstydzony zawrócił do swojej furmanki.

Były już rogatki Krynicy Zdroju. Po obu stronach stały domy coraz piękniejsze i bardziej zadbane. Przejechali ulicą Lipową i za kościołem skręcili w ulicę Kazimierza Pułaskiego. Droga wiodła pod górę, toteż konie, nachylając karki i prężąc tylne nogi, ciągnęły wozy wyładowane cegłą. Co chwilę świstał bat i dało się słyszeć: „Wio! Wio!”. Po kilku minutach ciała koni dymiły, a w wędzidłach pojawiła się piana. „Wio! Wio!” – krzyczeli woźnice i, uchwyciwszy się kłonic, usiłowali pchać ciężkie wozy, by chociaż troszkę ulżyć zwierzętom. Za małym zakrętem zarysowała się duża budowa. Z fundamentów sterczało zbrojenie, poprzedzielane ceglanym murem. Należało z drogi bitej skręcić w prowizoryczną dróżkę usypaną żwirem. Dróżka prowadziła jeszcze bardziej pod górę, toteż furmani dali nieco odpocząć koniom. Po czym, plując

w dłonie, zaświstali batami i pognali swoje siwki, kare, kasztany na miejsce wyładunku.

Niebawem zjawił się majster. Cegłę przeliczył i kazał wyładować. Petro, jak zawsze ciekawski, spoglądając na pana w lakierkach, drogim garniturze i gustownym kapeluszu, zapytał:

– Ten to właściciel?

– Nie, to ojciec właściciela – odparł spokojnie majster. – To Franciszek Kiepura.

– Aha! Franciszek Kiepura. Ciekawe, czy on też śpiewa...

– Ojczulku, jak wyładujecie cegłę – odpowiedział majster – zgłóście się do biura, tam otrzymacie zapłatę.

Po wyładunku cała dziesiątka uszczęśliwionych furmanów znalazła się pod biurem. Kwitując pieniądze za przewóz, pytali, kiedy jeszcze będą potrzebni.

– W przyszłym tygodniu – odpowiedziała kasjerka. – Najlepiej w poniedziałek.

Wszyscy mamy przyjechać? – spytał Maciej.

– Dobrze by było.

Wasia zgarnął chciwie dwa złote i trzymał w zaciśniętej dłoni, aby przypadkiem nie zgubić. „Boże, tyle pieniędzy za jeden przewóz! Tyle pieniędzy!”. Poprawił worek z sianem, usiadł wygodnie i ruszył z powrotem pod kościół; tam skręcił w ulicę Zdrojową, a gdy dojeżdżał do ulicy Kraszewskiego, z wnętrza worka wyjął buty, które miał do cerkwi, i ubrał je, starannie zawiązując sznurowadła. Serce znowu załopotало mu gwałtownie: pod numerem piątym przy ulicy Kra-

szewskiego jest pensjonat „Maria”, a właścicielami pensjonatu są rodzice Sary. Może przypadkiem będzie siedzieć na balkonie, spojrzy na Wasię i pomyśli: „No, no, Wasia nie taki biedny, skoro w butach do roboty jeździ”.

2

Tadeusz Dobraniecki był panem co się zowie. Po rodzicach odziedziczył nie tak wielki, ale piękny pałac oraz spory kawał ziemi, o jakieś sto kilometrów od Lwowa. Już jego rodzice, gdy ziemia przestała przynosić takie zyski jak dawniej, założyli stadninę koni, zasilając w ten sposób rodzinny budżet, który i tak wcale nie był mały.

Starsi państwo Dobranieccy przywykli żyć na pewnym poziomie. Odbływały się więc w pałacu bale, wizyty i rewizyty ludzi ich pokroju. Ich syn, Tadeusz Dobraniecki, jeszcze przed wojną odebrał staranne wykształcenie w Wiedniu. Miał dyplom inżyniera budownictwa i władał biegle językami angielskim, francuskim i niemieckim.

W tym czasie, gdy zabito arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, powrócił w rodzinne strony. Pracy nie podjął z uwagi na to, że zanosilo się na wojnę, a ciężkie czasy najlepiej przeczekać we własnym domu. Ojciec od czasu do czasu wypominał mu, że wybrał zły kierunek studiów. „Któż ziemią się zajmie, stadniną, gdy ty, taki pan, zelówki na budowach będziesz zdierał?” – pytał.

Tadeusz nie odpowiadał, miał inny stosunek do rzeczywistości niż jego ojciec. Gdy jednak pewnego razu nie wytrzymał i powiedział, że feudalizm zmuszał chłopów do niewolnictwa i należy się tego wstydzić, stary poczerwieniał ze złości i, plując się, zaczął krzyczeć: „Jak te hordy ciemnego chłopstwa można było utrzymać w posłuszeństwie, jeśli nie batogiem?!”. Tadeusz wzruszył ramionami. „Ano widzisz” – kontynuował ojciec. „Dzięki temu powstały piękne pałace, zamki, ogrody. Arystokracja pozostawiła w spadku cuda architektury. Masz tu styl gotycki, barokowy, neoklasycystyczny... A chłopci, cóżby w spadku zostawili? Chlewy, obory, smród i nędzę...”. „Nie, nie” – przerwał Tadeusz. „Biedni, ciemni chłopci to zostawili po sobie. Ale wyobrażasz sobie, ojczu, jak by to wyglądało, gdyby chłopskie dzieci wyuczono? Należało budować mniejsze pałace, a zadbać o wydobywanie biedoty z czworaków. Manufaktury, fabryki zamiast szynków. Nam by się to opłacało, nie mówiąc już o całym kraju”. „To rewolucja!” – krzyknął starszy. „Nie, ojczu, to zwykły porządek rzeczy. Tak postępują państwa w zachodniej Europie, które zostawiły nas daleko za sobą w rozwoju. U nas błoto, bieda! Na wsi straszna nędza! Nie mogę na to patrzeć!”.

Ojciec pokiwał głową i rzekł: „Jesteśmy w niewoli, synu. A jeszcze te powstania; piękne, bohaterskie, ale przegrane”. „Tak, gdy mieliśmy wolność, niszczyliśmy własne państwo samowolą i licznymi przywilejami szlachty. Gdy na Zachodzie dokonywała się rewolucja przemysłowa,

my organizowaliśmy straceńcze powstania, a później, po klęsce, szlachta szła zakuta w kajdany na Sybir. Kto miał budować fabryki, zakładać uczelnie, kto na wsi miał łożyć na naukę chłopskich dzieci? Ojciec, ciąży na nas grzech przeszłości. Ja to widzę, buntuję się i chcę to zmienić!”. „Zatem zaproś okoliczne chłopstwo, ugość je, rozdaj cały majątek – rzekł ojciec – a przekonasz się, że oni nadal będą biedni. Pałac splądrują, dobra roztrwonią i po pewnym czasie cały nasz majątek diabli wezmą”. „Ojciec, jak ty nie chcesz żadnej rewolucji. Ale to my, ziemianie, możemy być motorem napędowym postępu. Dlatego uczyłem się na inżyniera, aby przekształcać nasz kraj i uwalniać go z biedy i ciemnoty”.

Tak to stary dziedzic rozmawiał z synem, gdy już pierwsze pułki cesarza Franciszka Józefa szykowały się na Serbię.

* * *

Wojna rozgorzała w całej Europie, a u państwa Dobranieckich wciąż było jak u Pana Boga za piecem. Nie dochodził tu zgiełk bitew, nie przemieszczały się wojska, nie atakowano siebie nawzajem, nie brano też nikogo do niewoli.

Pod koniec roku 1916 stary dziedzic zachorował jednak na grypę i mimo usiłowań lekarzy sprowadzonych ze Lwowa po kilku miesiącach zmarł. Tadeusz Dobraniecki stał się jedynym dziedzicem tego, co pozostawił po sobie dobrze dbający o swoje dobra ojciec.

A że życie toczyło się dalej, po rocznej żałobie poślubił Julię z pobliskiego dworu i w czasie, gdy z Petersburga docierały krwawe wieści, urodził im się syn, któremu dano imiona Andrzej Tadeusz, ale nazywano go Andrzejkiem.

Chłopi stali się jacyś nerwowi, karki im jakby zeszytniały. Na widok Dobranieckiego już nie zginali ich ku ziemi i nie mówili „Dzień dobry dla pana dziedzica”. Ten i ów tylko burknął „dzień dobry” i to było wszystko. Tadeusz widział to i się niepokoił. Miał przecież rodzinę, więc było się o co martwić. „Najgorszy jest pies – mówił – jak urwie się z łańcucha. Na wolności pies nie kęsa”. Odnosiło się to do chłopstwa, do którego co prawda wciąż czuł sympatię, ale to uczucie z dnia na dzień jednak w nim topniało.

W Rosji było coraz gorzej, wojna domowa toczyła się na wielu frontach. Chłopi plądrowali pałace, w miastach brakowało chleba i opału; chwilami już nie było wiadomo, kto z kim i o co walczy! Aż w końcu bolszewicy zwyciężyli. Piłsudski, widząc zagrożenie z ich strony, wyruszył z wojskiem aż na Kijów, ale musiał się wycofać i czerwoni zaczęli oblegać Lwów. Pałac Dobranieckich także znalazł się w rękach wroga. W salonie rozgościł się komisarz, którego wojskowej rangi Dobraniecki nie mógł odczytać, gdyż zawsze miał na sobie skórzany płaszcz. Bali się go zarówno żołnierze, jak i mieszkańcy pałacu. Czarny wąs pod nosem, zmarszczone brwi i nieprzyjemne wejście – to wszystko czyniło go groźnym.

Dobraniecki był jednak za inteligentny, aby otwarcie przeciwstawić się złu. Bo i co by to dało? Jego pewnie by rozstrzelano, a co z żoną i dzieckiem? Los ich wszystkich okazałby się może okrutniejszy, ale okoliczne chłopstwo ukraińskie zapewniło komisarza, że Dobraniecki to dobry pan, więc ten na razie postanowił mu nie szkodzić. Zresztą duża część chłopstwa pozostawała nieufna również wobec bolszewików.

Dobraniecki kazał wytoczyć z piwnicy beczki z winem, a w kuchni przykazał gotować sowe posiłki dla sztabu. Bolszewikom to się podobało, a Dobraniecki wiedział, że jakby tego nie uczynił, to i tak zabraliby wszystko sami.

Podpisanie pokoju ryskiego odbyło się w czasie, gdy piwnice pałacu i stajnie świeciły już pustkami. Pozornie wszystko wróciło na stare tory. Chłopi zła-godnieli, zdejmowali czapki przed dziedzicem, a nawet uśmiechali się do niego. Wystraszony pop wrócił do cerkwi, a z pobliskiego dworu znowu co tydzień przyjeżdżał ksiądz, aby prawić pożyteczne nauki, a przy okazji zjeść z państwem wykwinny obiad i wypić szklaneczkę wina. Żegnany przez Dobranieckich zapowiadał: „Do przyszłego czwartku”. „Do czwartku!” – odpowiadali gospodarze.

Tadeusz po obiedzie zamykał się w swojej bibliotece i, pykając fajkę, myślał: „To bieda pcha ludzi do złego, bieda rodzi upiory i wywołuje rewolucje. Ale bieda nie byłaby tym samym, gdyby nie sąsiadowała z przepychem. Bogactwo i skrajna nędza. Wystawne

pałace i gnijące chłopskie chaty. Ten świat jest taki niesprawiedliwy! Czy jednak czerwoni są w stanie uczynić go sprawiedliwszym? Nie wierzę w to, przemoc rodzi przemoc, gwałt – gwałt. Świat winien się ewolucyjnie zmieniać, doskonalić. I co ty, Dobraniecki, zrobiłeś, aby ten świat był lepszy? Rozmyślasz tylko!”.

Mężczyzna wstał z fotela i zaczął przechadzać się nerwowym krokiem po bibliotece. Wezwał służącego i posłał po żonę. Kiedy przyszła, długo rozprawiali na temat ogólnej sytuacji. Dobraniecki zakończył rozmowę stwierdzeniem, że nie jest doktorem Judymem i nie chce, aby jego rodzina żyła w ubóstwie. Wykorzysta zatem zdobyte wykształcenie, podejmie pracę, która pozwoli żyć jego bliskim na przyzwoitym poziomie. Połowę ziemi rozda ubogiemu chłopstwu, a drugą połowę wraz z pałacem sprzeda. Z podniecenia zawołał: „Wybudujemy willę we Lwowie i będziemy żyć według nowych reguł. Prawdę mówiąc, praca na gospodarstwie nie ciekawi mnie. Budowy, beton, stal, stropy i ściany, to mój żywioł!”. Tak też uczynili, pozostawiając po sobie dobre wspomnienie wśród ukraińskiego ludu.

Bardzo piękną willę na przedmieściach Lwowa wybudowano w dwa lata. Tadeusz był jednak gościem w domu. Prowadził poważne budowy nie tylko we Lwowie, ale także w Krakowie, na Śląsku, a nawet w Warszawie. A gdy sam Jan Kiepura poprosił go, aby wsparł swoim doświadczeniem budowniczych jego „Patrii” w Krynicy Zdroju, ofertę tę przyjął z rado-

ścią. Był w tym miasteczku już kilkakrotnie. I zawsze zachwycił się jego położeniem wśród gór, bogactwem wszelkich wód leczniczych, ale przede wszystkim ujmowała go jego atmosfera. Żyli tu bowiem wspólnie, jakby w symbiozie, Polacy, Żydzi i Rusini. Podobnie zresztą jak we Lwowie i też podobnie jak tam mówili: „Ta joj, ta hej”.

„Wiesz co, Julio, zabiorę was na dwa miesiące do maleńkiego Lwowa. Pomieszkacie, odpoczniecie, nabierzecie sił...” – oświadczył. „Do jakiego maleńkiego Lwowa?” – zdziwiła się żona. „Ano jest takie miasteczko, które nosi nazwę Krynica Zdrój. Do Tarnowa jedzie się z niej pociągami tylko cztery godziny. Fantastyczna miejscowość, jak z bajki!”.

Tadeuszowi trafiły się także budowy w Nowym Sączu i Gorlicach, toteż postanowił, że wynajmie apartament w Krynicy. W willi „Tatrzańska” zajął dwa pokoje, łazienkę i niewielką kuchnię, w której krzątała się przywieziona z Lwowa kucharka, starsza już kobieta, nieco otyła, ale bardzo miłej powierzchowności. Żona z synem Andrzejem przyjechała do męża pod koniec czerwca. Lato było słoneczne, piękne – ciepłe, ale nie upalne.

Dwunastego lipca Tadeusz nie poszedł do pracy. Wstał, ogolił się, ubrał odświętnie i wyszedł na papierosa. Pani Julia z synem wstali nieco później.

– Boże, to już w pół do dziewiątej! Józiu, Józiu! – zawołała nieco zaniepokojona kobieta – toż to dzisiaj

urodziny męża, tyle roboty, a ja śpię w najlepsze. Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– A do czego mi pani potrzebna? – zaśmiała się kucharka. – Ja wolę, jak mi w kuchni nikt nie przeszkadza, szybciej wtedy idzie robota.

– A tort zrobiłaś, a przekąski, a pieczyste?

Na to gospościa podniosła czysty biały obrus, doskonale wyprasowany i odsłoniła poukładane na stole przeróżne specjały. Ciepła woń upieczonego ciasta rozniosła się po domu.

– Indyczka piecze się w piekarniku – rzekła, jakby się przechwalając. – Pstrągi stygną w galarecie, a schab upiekłam jeszcze przed indyczką.

– To chyba tej nocy wcale nie spałaś? – zapytała pani Julia.

Służba u państwa Dobranieckich zawsze pracowała sumiennie, odwdzięczając się tym samym za ludzkie traktowanie.

* * *

Andrzej, młodzieniec lat dziewiętnastu, wysoki z długą blond czupryną zaczesaną do tyłu, przystojny student drugiego roku Politechniki Krakowskiej, czym innym miał zaprzątnięte myśli, a cała ta krzątanina wokół urodzin ojca w ogóle go nie interesowała. Nie kochał ojca? Wprost przeciwnie, wręcz go uwielbiał, ale tego dnia był bardzo rozkojarzony. Wczoraj około południa przechadzał się Deptakiem i, będąc już obok apteki, ujrzał na jakieś pięć kroków przed sobą dziew-

częcą postać. Zapewne zakręciło się jej w nosie, gdyż sięgnęła szybko do torebki po chusteczkę i właśnie w owej chwili wypadła jej portmonetka. Nie zauważyła tego, kichnęła, otarła nos i, chowając chusteczkę, od razu poszła dalej. Andrzej schylił się i podniósł tę damską „sakiewkę” z dobrze wyprawionej skóry. Przyspieszył i, zrównawszy się z nieznajomą, rzekł: „Zgubiła pani portmonetkę. Oto zguba”.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła. Andrzej stanął jak wryty. Ujrzał przed sobą piękną twarz. Ciemne oczy na jego widok zabłysnęły, a z ładnie zarysowanych ust wypłynęły słowa: „Tak? Ależ dziękuję bardzo! Kiedy to zgubiłam?”. „Jak sięgała pani po chusteczkę...”. „No, ale pan... Cóż za szlachetny czyn. Chyba pan nie wie, ile tam jest pieniędzy?”. „Dla mnie to bez znaczenia” – odpowiedział. „Po prostu oddaję zgubę”. „Zatem winna jestem panu dziesięć procent”. „Proszę nie żartować” – zachnął się Andrzej. „Zrobiłem to, co zrobiłby każdy na moim miejscu”. „Niech pan nie żartuje” – zaśmiała się dziewczyna. „Niech pan nie będzie taki skromny. Proszę sobie wyobrazić, że tam znajdowało się całe tysiąc złotych!”. „Ja nie jestem ubogi”. „Ale jest pan uczciwy” – rzekła. „Jeśli więc nie dziesięć procent, to co?”.

Andrzej poczuł, jak mocno bije mu serce. Nie był z natury nieśmiały, ale ta piękna osóbką roztoczyła nad nim jakiś czar i nie wiedział, co mówić, jak składać zdania... „Przepraszam...” – zaczął. „Słucham” – weszła mu w słowo. „Nie wiem, czy można... czy się pani

zgodzi...”. „Tak?”. „Otóż, czy napiłaby się pani jutro ze mną filiżankę kawy?”.

Przez chwilę zastanawiała się, a później zapytała: „O której godzinie?”. Chciał powiedzieć: „O której pani zechce, piękna, ty wybieraj, ja się dostosuję”, ale dobre wychowanie nie pozwalało mu na taką kokieteryję. Dlatego rzekł: „Gdyby pani zechciała, najlepiej późnym popołudniem, może o szóstej wieczorem?”. „O osiemnastej?” – zastanawiała się. „Dobrze, ale nie wiem, czy się mamie zgodzi. Przecież nie znam pana”. Wówczas pochwycił jej rękę, ucałował i się przedstawił: „Nazywam się Andrzej Dobraniecki. Mój ojciec ma ważny głos przy budowie u pana Jana Kiepurę przy ulicy Pułaskiego”. „Jak tylko się mamie zgodzi, przyjdę”.

Starła się spoglądać na młodzieńca bez większej czułości, jaka się człowiekowi udziela, gdy ktoś się mu spodoba. A Andrzej chyba spodobał się pięknej dziewczynie, gdyż oczy jej świeciły się blaskiem brylantów.

Tak więc gdy pani Julia zajęta była przyjęciem urodzinowym, jej syn myślał o godzinie osiemnastej i o tym, czy jego nowa znajoma przyjdzie czy nie.

* * *

O godzinie czternastej rozpoczęła się uroczystość z okazji urodzin pana Tadeusza Dobranieckiego. Na ustawione w podkowę stoły, przybrane w białe obrusy, ułożono specjały przygotowane przez Józję.

Jako pierwsi do Dobranieckiego podeszli żona i syn, trzymając w rękach czerwony bukiet róż, i złożyli mu najserdeczniejsze życzenia. Później stanęli przed nim burmistrz i główny architekt z wyrazami wielkiego szacunku, a następnie dwóch majstrów z budowy. Właśnie siadano do stołów, gdy w drzwiach ukazał się pan Franciszek Kiepura z koszykiem pięknych kwiatów. Różia natychmiast odebrała od niego kapelusz. Ten nowo przybyły gość podszedł do Dobranieckiego, dziarsko uściśnął mu dłoń i powiedział:

– Moc najserdeczniejszych życzeń, szanownemu panu, moc najserdeczniejszych życzeń!

– Dziękuję – odrzekł pan Tadeusz. – Zatem, drogi Franciszku, siadajmy do stołu.

Po chwili jednak wstał i rzekł:

– Dziękuję wszystkim, którzy pamiętali o moich urodzinach i raczyli mnie dzisiaj odwiedzić. Jest mi niezwykle przyjemnie, że mogę państwa gościć w tych skromnych progach wynajętego przeze mnie mieszkania. Wobec tego, czym chata bogata, tym rada. Proszę się częstować.

– Wie Pan – odezwał się burmistrz, kierując swe słowa w stronę Dobranieckiego – ta budowla to będzie najpiękniejszy obiekt w Krynicy.

Następnie, zwracając się do pana Franciszka, dodał:

– Cieszę się, że syn zechciał zainwestować swoje pieniądze w naszym mieście. Ileż to ludzi jest panu wdzięcznych za pracę i za godziwe wynagrodzenie.

Stary Kiepura, przelknąwszy kęs ciasta, odłożył widelczyk i powiedział:

– Syn wybrał to miejsce, bo piękna jest Krynica Zdrój. A „Patria” wspólnie z licznymi nie mniej pięknymi obiektami tworzyć będzie malowniczy pejzaż tego miasta.

Pani Józia uwijała się przy stole i z błogim uśmiechem na ustach zachęcała:

– Proszę jeść, panowie! Proszę jeść!

Właśnie kończono odśpiewywanie *Sto lat*, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział pan Dobraniecki.

Drzwi powoli uchyliły się i ukazała się w nich postać listonosza.

– Depesza do szanownego pana Tadeusza Dobranieckiego – oświadczył.

Tadeusz założył okulary i odebrał telegram. Chrząknął i począł czytać:

New York, USA

Szanownemu Jubilatowi

Panu Inżynierowi

Tadeuszowi Dobranieckiemu

*moc najserdeczniejszych życzeń wszelkiej
pomysłności, zdrowia, uśmiechu, zadowo-
lenia z pracy
i rodziny*

życzy Jan Kiepura

– Jestem niezmiernie rad – skłonił się jubilat w stronę pana Franciszka – że syn pamiętał o mnie. Dziękuję!

Wówczas to zaczęły się przemówienia i toasty. Jedzono, pito i robiło się coraz gwarniej w mieszkaniu państwa Dobranieckich. Nikt jednak się nie upił, gdyż to uwłaczałoby dobremu imieniu inżyniera.

Andrzej kilkakrotnie wstawał od stołu i spoglądał na zegarek i im bliżej było godziny osiemnastej, tym jego zniecierpliwienie rosło. Chwilami żałował, że nie umówił się na inny dzień. Ale w tej chwili nie miał głowy do tego, aby to roztrząsać. Piękna postać pochwyciła go i uwiodła na dobre. „Więc o osiemnastej przy fontannie Pijalni Jana” – wspominał. Andrzej nie miał apetytu, nie mógł się skupić na tym, o czym wokoło rozmawiano, i w głębi duszy czuł wyrzuty sumienia, że tak niewielką wagę przywiązuje do urodzin ojca. Ale nagle zrozumiał, że jest jeszcze inna miłość, która bardzo go pociąga, do której tęskni i której pragnie. Myślał: „Boże, żeby tylko przyszła, żeby przyszła”. Za kwadrans siedemnasta wstał od stołu i, delikatnie szarpnąwszy ojca za rękaw, powiedział:

– Papo, przepraszam cię, ale muszę wyjść na dwie godziny...

– Dzisiaj? – zdziwił się ojciec. – A cóż to za ważna przyczyna?

Spojrzał na Andrzeja, a ten spłonął się cały.

– Aaa! Dziewczyna – zgadywał pan Dobraniecki.

– Zatem to siła wyższa. Nie mogę cię zatrzymywać. Idź.

– Dziękuję, papo.

– A ładna chociaż? – żartobliwie zapytał ojciec.

Andrzej jeszcze bardziej się zarumienił, ale nie zabrakło mu odwagi, aby go głośno zapewnić:

– To bardzo ładna dziewczyna!

– Nie wracaj zbyt późno – wtrąciła pani Julia.

– Dobrze, mamó – odpowiedział uszczęśliwiony chłopiec.

Już wychodził, gdy ojciec zapytał:

– A masz, synu, na kawę?

– Nie, papo, całkiem o tym zapomniałem.

Pan Tadeusz pogrzebał w kieszeni i, wyciągnąwszy dwa złote, zapytał:

– Wystarczy?

– Tak, ojczu, w zupełności.